

TUŁACTWO I POKUTA

KRÓLA
BOLESŁAWA ŚMIAŁEGO.

WIELKIE NARZEKANIE SZATAŃSKIE
NA MISYJE W POLSCE.

LIST EMIGRANTA Z BRAZYLIJI.



153801

W I L N O.

Tow. Wyd. „POGOŃ”. Drukarnia „PAX”, ul. Św. Ignacego Nr. 5

1 9 3 0.

K-138/84

Tułactwo i pokuta Króla Bolesława Śmiałego.

Ubrany w szaty kościelne. Z potęgą od nieba wzięta,
Rozgrzeszał ludy śmietrelne. Papierz odprawiał mszę świętą.
Święte rozdawał odpusty. Lud w tłumy zbiegł się dokoła,
Kornemi całując usta. Zimne podłogi kościoła.
Do ziemi spadły kolana. Cichość osiadła sklepienia
Gdy Bóg przez usta kapłana. Miał rozlać słowa zbawienia.
Przebóg! lecz jakaż to trwoga. Nagle pasterza przeraża.
Z rąk mu krzyż z obrazem Boga. Wypadł na stopnie ołtarza.
O nieba!—rzekł—jakiś to zbrodzień. Śmie się znajdować tu z nami,
Człek odpuszczenia nie godzien. Tchem swoim świętość dnia plami?
Serce zamknięte przed skruchą. Próżną zgryzotą usycha
Nie godne słyszeć jest ucho. Słowo zbawienia odpycha.
Nieszczęsny, zbrodni tych zbytek. Popełnił miarę szaleństwa,
Wstań opuść święty przybytek. Lub się bój mego przekleństwa.
Z północnej przybyły ziemi. Do Rzymu w niskiej pokorze,
Kłęczał pomiędzy wiernymi. Pielgrzym w pokutnym ubiorze,
Lecz nikt go nie znał w tym mieście. W samotnej mieszkał gospodzie,
Przez dni i nocy czterdzieści. Poszcząc o chlebie i wodzie.
Nikt silniej w pierś nie uderza. Nikt korniej nie schyla czoła
Jednak na słowa Papierza. Powstał i wyszedł z kościoła.
I wzięwszy podróżne szaty. Powracał do kraju swego
Szedł gdzie skaliste Karpaty. Sarmackiej krainy strzegą.
Kędy się Warta rozwija. Zaprawdę pięknie w tym kraju
Ale go pielgrzym omija. Idzie nad brzegi Dunaju.
Idzie nad dziką pustynię. Samotna wiedzie go ścieżka,
W posępną głuchą jaskinię. Gdzie obca słońcu noc mieszka.
Miejsce to zewsząd zakryte. Podniebnych modrzewi ciszą,
W górze piorunem rozbite. Czarne się skały kołyszą.

Promień letniego wieczora. Rumienił wierzchołki Ossy,
A dzwonek z wieży klasztoru. Mieszał się z hymnów odgłosy.
Gdy pielgrzym w smutnym milczeniu. Zważał swój pobyt
[straszliwy,
Przed nim na zimnym kamieniu. Spoczywał kapłan sędziwy.
Niechaj cię Chrystus wysłucha. Rzekł:—bogobojny pielgrzymie
Miej ufność grzech zmoże skrucha. Bóg szczerze modlitwy przyjmie
Głos li ten strwożył pielgrzyma? Ogniem spłynęła twarz blada,
Mierzy go długo oczyma. Lecz nic mu nie odpowiada.
Wracasz li z Solimy grodu? Rzekł kapłan łagodną mową.
Masz li relikwię Wschodu, albo gałązkę palmową.
Nie z świętej Solimy grodu. Lecz wracam z Tybru nadbrzeża,
Zamiast relikwi wschodu. Niosę przekleństwo Papierza.
Nieszczęsny, nie trać pociechy. Strzeż się poddawać rozpaczy,
Wyznaj ze skruchą twe grzechy. Bóg je przezemnie przebaczy.
Któż ty jest, co chcesz pielgrzyma. Nieszczęśliwego pocieszyć,
Gdy ten co nieba klucz trzyma. A nie mógł mnie rozgrzeszyć?
Nie trwóż się myślami temi. Z wyższych rozkazów tu dąże,
A wiedz co ja tu na ziemi. Wszchemocny w niebie rozwiąże.
Pielgrzym więc zgąwszy kolana. Tak mu swe serce otwiera,
Wtenczas gdy głowa kapłana. Na drżącej dłoni się wspiera.
Czy cię tu ojciec wysłały. Kraje Zachodu czy Wschodu?
Wiesz kto był Bolesław Śmiały. Król sarmackiego narodu?
Chciwy nie łupów, lecz sławy. Brał i rozdawał korony,
Wspaniały, mężny, łaskawy. Poddanym ojciec lubiony
Jam jest. Może to ramię. Starłszy potęgę dumnego,
Na złotej Kijowa bramie. Wznowiły razy Chrobrego.
Ale tam gnuśność obrzydła. Stargawszy cnoty błaganie
W zgubne nagnała mię sidła. Znasz-li ty rozkosz kapłanie?
Pierwszym z nieba upominków. Pierwszym jest rozkosz prawdziwa,
Rozkosz, bo z dobrych uczynków. Spełnienia cnoty wypływa.
Lecz jako piastunka zradziecka, Jest rozkosz zmysły mamiąca,
Co utuliwszy płacz dziecka. W bezdenną przepaść ją wtrąca.
Jak ziemi słońca blask złoty. Obfite kwiaty i żniwa,
Tak w duszy męstwa i cnoty. Rozwija miłość prawdziwa.
Cukrem rozlana trucizna. Ogień co miasta pustoszy.
Taką jest, każdy mi przyzna. Miłość zmysłowej rozkoszy.

Kochałem młodą dziewicę. Niestety miłością drugą,
Sławni jej byli rodzice. Rodem, potęgą, zasługą.
Młodzian dostojny, bogaty. W rycerską chwałę i męstwo,
Liczne do rodziców słał swaty. Prosząc o córkę w małżeństwo
I już przy świętej ofierze. Dłoń ich związali kapłani.
Gdy zbrojni wpadli rycerze. Z mego rozkazu posłani.
Próżno na kochanka łonie. Tuli twarz łzami zalaną
Młodzieniec zginął w obronie. Dziewicę gwałtem porwano.
Starzec, w kapłańskiej odzieży. Stanisław biskup krakowski
W obliczu dam i rycerzy. Śmiał mnie ogłaszać gniew boski,
Grozić mi klątwą kościelną. Gniew wziął rozumu władanie
Przysięgłem zemstę śmiertelną. Cóż to jest zemsta kapłanie?
Na Skałce, u stóp ołtarza. Wskazałem zgubę kapłana,
Trzykroć dłoń płatnych zbrodniarzy. Odparła siła nieznaną.
Lecz czegoż zemstwa nie dopnie? Przypadłem: Ojczy drżysz
[cały?
Przypadłem. A święte stopnie. Krwią się niewinną oblały.
Między rozpaczą a szalem Odtąd się życie me wlokło.
Nie śmiałem umrzeć, nie śmiałem. W otwarte rzucić się piekło,
Zrzekłszy się tronu; korony. Wkrótce dziewiąty rok minie
Jak się tu, postem znędzniony. W dziką przywlokłem jaskinię.
Tu, w piersiach, zamknąwszy głosy. Dnia widzieć nie dałem oku,
Chleb tylko z klasztoru Ossy. I wodę biorąc ze stoku.
Wszystko wyznałem ci szczerze. Ty powiedz mi teraz kapłanie,
Jakie łyzy, posty, pacierze. Grzech mój okupić są w stanie.
Ufaj, a Bóg cię wysłucha. Wszyscy śmiertelni, ułomni,
Lecz jeśli szczerza jest skrucha. Bóg dobry przestępstwo zapomni.
Wkrótce głos śmierci anioła. Ciebie królu Bolesławie
Przed sąd najwyższy powoła Ja się za tobą tam wstawię.
Niech cię więc łyzy twe ukorzą. Nad wszystko strzeż się rozpaczy,
Jak ja ci chętnie śmierć moją. Niech ci tak Pan Bóg przebaczy.
Strach króla przejął głęboko. Krew ścięła trwoga nieznaną,
Wzniósł nagle zdziwione oko. Lecz już nie było kapłana.
Któż on był trudne pytanie. Sam, że Stanisław święty,
Porzucił chwały mieszkanie. Pokutą króla dotknięty?
Tego nikt wiedzieć nie może. Lecz tak przynajmniej król
[wierzył.
Nim trzecie zabłysło zorze Bolesław Śmiały już nie żył.

Choć umarł w żalu i skrusze. Ani żałobny jęk dzwonu,
Ani modlitwy za duszę. Nie głosiły króla zgonu.
Człek jakiś w prostej odzieży. W cichem go pogrzebał ustroniu,
Na grobie jego głaz leży. Na głazie rycerz na koniu.

K o n i e c.

Wielkie narzekanie Szatańskie na misje w Warszawie.

—○○—

Proszę posłuchać moi panowie.
Jaka to misja była w Warszawie...
Misyjonarze tam zakazali,
Żeby się ludzie nie upijali.
Dużo rzuciło trunek przeklęty.
Nie złubiał tego zły duch zawzięty;
Tak, jak po kwaśnem jabłku się skrzywił,
Lucyfer w piekle aż się zadziwił;
Ryczy, jak wściekły, na całe piekło,
Że mu pijaków dużo uciekło.
W piekle i w karczmie nikt nie przybywa,
Lucyfer djabłów do siebie wzywa.
Jak nie zatrąbi w beczkę po smole...
Z różnych stron świata już stoją w kole.
Książę ciemności wszystkich rachuje,
Jednego diabła jeszcze brakuje.
Jak w beczkę nadmie,—obręcze pękły
Aż się złe duchy same przelekły...
Aż z trybunału z Warszawy leci,
Co wciąż nastawiał do sprawy sieci.
I do teatru w wieczór zachodził,
Czartowską sztuką tam wszystkich zwodził
Ten najmądrzejszy. Za wszystkich gadał
Lucyfer pytał, on odpowiadał.
Jak piorun trzasnął, łańcuch zabrzączał;
Wił się Lucyfer, jak wściekły jęczał,

PRZEDRUK WZBRONIONY!

Wszystkim złym duchom w piekle złorzeczył,
Siarczysty ogień z swej paszczy niecił.
Piekło się trzęsło, wulkan wybuchał
Na jego rozkaz, każdy zły słuchał.
„Daremnie tylko djablami się zwiecie,
Nic po djabelsku nie pracujecie.
Bywało dawniej — szło dusz tysiące,
Piekło, jak ogień, było gorące,
A teraz piekło, co raz ostyga;
Niedługo w piekle zostanie figa.
Precz z moich oczu!... Wyście gałgany,
Darmo się tylko zwiecie szatany...
Dlaczego z wódki nikt nie umiera?
Ani się wieszka skąpiec lub sknera?
Wstyd, hańba dla was, wy potępieńcy,
Piekło nam zginie za dwa miesiące;
Co wy robicie, szatani wszyscy,
Że w piekle niema żadnej korzyści“...
Jak belzebubo trząsnął łańcuchem,
Ja jestem sługą, twym wiernym duchem,
Książę ciemności, daj mówić dalej,
Jakże będziemy dusze łapali?
Bywało djablom, to dobrze było...
Przez tanią wódkę moc się wabiło.
Na każdej wiosce były karczmyska, —
Wt. n zas do piekła to szli ludziska.
Dziś monopole ponastawiali,
Precz do kościołów naród się wali,
A po kościołach misyja święta,
Misyjonarze rwą djabłów pęta.
Spróbuj być djablem — w czasy terajsze,
Jest chłop mądrzejszy, niż djabły nasze!
Każdy na sobie ma krzyże święte,
Cóż będziem robić, djabły przeklęte?
Bywało, łatwo było o duszę,
Teraz ja, djabeł, głowy nasuszę,
Póki ją weźmiesz we swoje sidło,
Rok za nią chodzisz aż ci obrzydło.

Bywało upił się, i zbłądził w drodze,
To ja już śmiało za nim chodzę,
Zawiodę jego na wielkie błota, —
Wtenczas i djabła brała ochota;
W gardle gorzałka się zapaliła,
Biedna duszyczka już nasza była,
Tylko po brodzie djabeł się głośnie, —
Tego żądałem, pijaku, właśnie.
Aż miło wspomnieć, jak to bywało,
Na wsi żydowstwo jak szynkowało,
Jak sprzedawali wódkę na kwarty,
My się zwijali, djabli, jak charty.
Żyd pijakowi gorzałkę leje,
Djabeł się patrzy, tylko się śmieje,
Odrazu kwartę wypił chłopisko,
Z radości w górę skoczył djablisko.
A potem leży pijak pod ławą,
A młodzież kręci w lewo i prawo,
Gra katarynka razem z bębenkiem,
Dziewki śpiewają swym głosem cieniutkim.
Wielka Sodoma i nieczystości,
A żyd się śmieje z wielkiej radości,
Że do szuflady jemu przybywa
Za głupią wodę mnóstwo grosiwa.
Bywało na wsi, szły laty śmiało —
Pół wioski ludzi pijanych spało,
Bo karczma była zawsze otwarta.
Z samego rana cieszyli czarta.
Jak przyszedł bakus przed wielkim postem
Pijak nieżywy leżał pod mostem,
Teraz nam trudno znaleźć pijaka,
Żeby podobny był do wieprzaka.
Jak były chrzciny, jadą kumowie,
Piją gorzałkę wszyscy na zdrowie,
Jeszcze pod kościół nie dojeżdżają,
Dziecko nieżywe z wozu wyjmują.
Wracają do dom — dziecko niechrzczone,
Przez kumów pijanych jest zaduszone. —

Z wielkiego żalu ojciec się wiesza —
Tak złego ducha wódka pociesza.
A wiele w mrozy w śniegu zginęło...
Pijaka duszę piekło przyjęło.
Milionami szli potępienicy,
Dopomagali żydzi najwięcej.
Wiele nam bab też dopomagało,
Żeby się więcej do piekła dostało.
Teraz i baby pijaczki trudno
Znaleźć djabłowi, aż jemu nudno.
Bywało, baba pijana mocno
Wlecze się z karczmy, już porą nocną,
Niesie na ręku małą dziecinę, —
Wali się w błoto, jakby w pierzynę.
A czart się patrzy, tylko się śmieje,
Dwuch dusz straconych już ma nadzieje
Rano znajdują babę, i dziecinę, —
Wszyscy składają na wódkę winę.
Jak po kwaterach wojsko stało,
To się djabłowi też podobało,
Bo każda baba miała kochanka,
Piła gorzałkę, jak wodę z dzbanka.
Gospodarz pijany, gosposia pijana —
To dobre czasy były szatana.
Dwadzieścia groszy kwarta gorzałki;
Dla baby dosyć było plotkarki.
Żeby latała z językiem zrana —
Zastąpi nawet miejsce szatana.
Wszystkie sekreta wie w całym mieście,
Czego nie wiedzą i djabłów dwieście.
A jak wesele gdzie na wsi było,
To się do piekła moc dusz waliło.
A swat weselny znał się z djabłami,
Poszczuł wesele wilkołakami.
Potem go proszą kumy, sąsiady,
„Czy czasem byście nie dali rady?“
Przynoszą jemu wódki z baryłki,
Żeby od domu wróciły wilki.

A co po dworach było przeklonów!?
Zagłuszyłoby dwadzieścia dzwonów.
Chłop był nabity. Na wsi pańszczyzna.
Pan się dorabiał, jak rogacizna.
Gorszy od djabła ekonom służy,
Wlecze bacisko za sobą duży;
Z nosem czerwonym, grubym jak beczka,
Z gęby mu lecą djabły jak sieczka.
Przeklina naród, nad ludźmi stoi,
Bo się go każdy, jak djabła boi.
Dziś chłop o pana nie stoi wiele, —
Precz do kościoła jadą w niedzielę...
„Ty nieskończony, bezecny brudzie,
Czy tylko na wsi masz kosić ludzie?
Czemu po miastach?... masz ludzi więcej,
Tam nie na setki, a na tysiący.
Tam więc narodu możesz zgromadzić
I nagłą śmiercią możesz zagładzić.
Byłeś w teatrze i w trybunale, —
Zwodzić narodu nie umiesz wcale“.
Niech wasza ciemność mnie słuchać raczy: —
Po dużych miastach wcale inaczej...
Tam trudno duszę złapać do siebie,
Bo się w gazetach wraz naród grzebie.
Zaraz doktorzy, znów Pogotowie...
Prędzej ratują tacy panowie,
W tej chwili leci zaraz stójkowy
I do przytułku zabrać go — powie.
Książę ciemności! daj jaki sposób,
Żeby zgromadzić do piekła osób,
I tobie bieda, i nam jest bieda. —
Chyba się weźmiem teraz do żyda.
Przecież żydowstwo do nas należy —
Nasz wróg jest Chrystus żyd go nie wierzy...
Wy chrześcijańskie łapajcie dusze,
Poganie lecą, jak liście z gruszy.
Oj! trudno, trudno, ciemności książę,
W bractwo trzeźwości dużo się wiąże,

Jeszcze i władza im dopomaga,
Sąd srogi karze, a kapłan błaga...
W takiej Warszawie misyjnarze
Żebyś ty wiedział, nasz lucyperze, —
Wiele tam szkody dla nas zrobili,
Przysięgę dali, żeby nie pili.
Te nasze wrogi byli z Krakowa,
Jak nas paliła w piersiach ich mowa.
Jak misyjnarz krzyknął z ambony,
Zły duch uciekał, jak oparzony.
A jak do góry podniósł kropidło,
To gnał nas stadem, jak dzikie bydło.
Powiem ci prawdę, bom jest twój sluga,
Zagnał nas stadem prosto do Buga.
Przez ośm dni tam w wodzieśmy siedzieli, —
Małośmy wszyscy nie poginęli.
Wyłazim z wody każdy zmoczony,
Nie można stąpać bo grunt poświęcony.
Ciemności książę nas tu nie karaj;
O dobrą radę nam się postaraj.
Bo trudne czasy dla nas, i dla ciebie,
Że ludzie ciągle myślą o niebie.
„Więc posłuchajcie wy moje sługi!
Do dusz łapania jest sposób drugi,
Jest bez wyznania dużo młodzieży,
Do złego ducha każdy należy.
Mówi, że duszy niema, ni Boga,
Prosta im będzie do piekła droga.
Piekła i djabła też nie przyznają,
Bo heretyckie książki czytają.
Gdzie naśladowcy tego człowieka,
Szatan go kusi, a piekło czeka.
W żadne świętości wcale nie wierzy, —
Do złego ducha taki należy.
Drugich znów macie co piwo piją,
Z nożem się mierzą, do krwi się biją
Wódka zdrożała, nic nie wskóracie...
Piwnych pijaków, dosyć ich macie...“

W każdej piwiarni, niech będzie warta,
Trzeba zostawić jednego czarta,
Żeby do piwa kusić narody,
Żeby pragnęli — jak jeden — wody.

Jak szynkarz z pompki piwo pompuje,
Niech sobie dyabeł czary ładuje,
Jak tylko wrzucisz kroplę malutką,
Będzie pił piwo lepiej jak wódkę.

Niech nic nie pije, a w karczmie bywa —
Będzie nasz własny, niech się spodziewa.
W karczmie bluźnierstwa dość się nasłucha,
Co się należy do złego ducha.

Bo wszystkie zbrodnie w karczmie się
[tworzą;

Ci co tam chodzą w piwo się włożą,
Nie tylko w piwo, do wszelkiej zbrodni,
W królestwo boskie nie będą godni,

Zawsze do liczby będziemy ich mieli.
Jak tylko będą w karczmie siedzieli,
Bo tu jest nasza własna kaplica,
Co ją nie lubi Boga Rodzica“.

Niech wasza ciemność mnie tu posłucha:—
Co się należy do złego ducha!?
Kto oszukuje — jak warzy, mierzy,
Czy do nas dyabłów tak-że należy?

Jak w cudzej łące woły napasie
Chyba dyabłowi do tego zasie?!
„Głupi baranie, uczyć cię trzeba;
Jest zagrodzona droga do nieba.

Tym, co rabują spichrze i domy,
Na cudze dobro, jak jest łakomy,
Czy to do lasu, — jak kradnie drzewo
Na strasznym sądzie pójdzie na lewo“

Książę ciemności daruj nam winę...
Jak pocałuje chłopiec dziewczynę,
Jak ją przytuli szczerze do siebie.
Czy też należeć będzie do ciebie?

„Dziwię się bardzo wam, potępieńcy,
Do nas należy to, co się nie święci,
To czego wróg nasz, Chrystus nie lubi,
Przez złe kochanie duszę zagubi,
Kto dużo piwa i wódki pije,
Kto ma swą żonę, a z drugą żyje,
Ma swego męża, drugiego lubi,
Fałszywie świadczy duszę zagubi.

Dziękuję tobie, książę ciemności...
To do nas należą wszystkie podłości,
A my się będziemy dobrze starali, —
Pijaki nagle żeby umierali:

„Właśnie, jak nagle kto życie kończy,
To się z djabłami razem połączy.
Kto długo leży, długo choruje,
Jak do Maryi się ofiaruje.

To nasza wielka nieprzyjaciółka...
Ona wrywa z naszego kółka.
Żeby nie Matka Pana Chrystusa.
Żadna by w niebie nie była dusza;

A że się ludzie do niej udają,
Wiele z dna piekła dusz wrywają.
Do piwa, wódki trza ludzi kusić,
Jak się wywróci, zaraz go dusić:

Żeby nie wezwał w pomoc Maryę,
A będzie siedział w piekle po szyję,
Jeden po szyję, a drugi na dnie,
A samobójca w piekle przepadnie...

Więc uważajcie, jak was tu uczyć!...
Ty, belzebubo, weź z piekła klucze. —
Klucze igielki z Judasza kości
I doprowadzaj ludzi do złości“.

Ciemności książę, a klucze na co?
Będą potrzebne, gdzie kiepsko płacą
Robotnikowi, lub dobrej słudze;
A jak łakomy na dobro cudze

Dotknij go kluczem do jego szaty
Niech on se będzie nawet bogaty,

To pokolenie marnie przepadnie,
Z jego potomstwa—wszystko upadnie...
To na to klucze, żebyś to wiedział!
Kogo się dotkniesz, to będzie siedział
Po kryminałach ze wszelkiej zbrodni,
W królestwo boskie nie będą godni.

Tylko nie wolno dotknąć każdego,
Ale jak Chrystus rzeknie się jego,
A jak Marya odwróci oczy,
Wtenczas niech djabeł do niego skoczy...
Więc teraz idźcie na wszystkie strony,
Gromadźcie mi tu dusz na miliony,
Judaszowemi kłóćcie igłami,
Żeby się naród złączył z djablami.

Dużo zepsuła nam tu misyja,
Że pod opiekę wzięła Marya,
Wszystkich grzeszników jacy tam były,
Żeby narody wódki nie piły.
Tylko z pijaków była nadzieja, —
Z pijaka wódka zrobi złodzieja.
Wszystko runęło, niech piorun trzaśnie!
Pewne nam teraz już piekło zgaśnie.

K o n i e c.

List emigranta z Brazylii.

Posłuchajcie, proszę pilnie. I wojskowe i cywilne,
Co robi ten ludek boży. Wyjeżdżają tam, gdzie gorzej.
Wiecie, gdzie jest Brazylija? Trza wam wiedzieć, Eył tam i ja;
Więc wam piszę na papierze. Zawierzajcie tu mi szczerze.
Moi Bracia po Chrystusie. Jeśli macie chleb w obrusie,
To go jedzcie i pilnujcie. Boga chwalcie i szanujcie.
Podziękujcie Bogu mile. Że spokojne macie chwile:
Ani głodu ani wojny. Bardzo śliczny czas spokojny.
Ziemia rodzi chleb ziemniaki. Gdiesz na świecie jest grunt taki?..
Może powiesz—u austryaka! Oj, tam ziemia już nie taka.

Tylko góry i jałowce, Drobne bydło. chude owce;
Ludzie czarni chodzą brudno. A do polski wracać trudno.
Bo to polska ziemskiej kuli. Tak jak matka wszystkich tuli;
Idź zapytaj się francuza. Tam się rodzi kukurydza.
Oziminy tam nie znają. Na jarzynie wygrywają;
Idź zapytaj się anglika. Tam się rodzi tylko gryka.
Żeby nie nasza ukrajna. Nieszczęśliwa ich godzina.
A kto prusa już pochwali. Niech nie żyje od dziś dalej.
Bo gdzie tylko jarmark jaki. To już lecą tam prusaki;
Tak jak głodne wilki w krzaki. Uwijają się prusaki.
Żeby nie nasze wieprze woły. Był by prusak głodny goły;
Nawet węgry nam zazdroszczą. Chociaż winem tam się goszczą.
Węder-mach w polską stronę. Rzuca dzieci, rzuca żonę;
W Ameryce Brazyljanin. Wprawdzie, że jest też chrześcijanin.
Ale naród nie daj Boże. Nacokoło wiszą noże;
Śpi i robi uzbrojony. Zabijają swoje żony.
Jak w złość wpadnie na swe dzieci. Nie jednemu głowa zleci;
A jak kłóci się z sąsiadem. Strzela śróttem tak jak gradem.
Są też ludzie dobre zuchy. Ale giną tak jak muchy,
Tam bez broni ani chwile. Bo są straszne krokodyle.
Siedzą w bagnie lub jeziorze. Wraz się czają gdzie kto orze;
A jaszczurek pod pokosem. Tak jak śledzi jednym sztosem.
Nawet ich się wystrzegają. Jak nastąpisz to kasają;
Tam nie złapiesz w wodzie ryby. Nie obrodzą w lesie grzyby.
Choicaż w lesie są owoce. Pies cię dziki załomoce;
Jest wielkości do bociana. Tylko czarny tak jak wrona.
Głowa psiacza a tu skrzydła. Nawet bierze się do bydła;
Zawsze człowiek jest nie pewny. A jak pójdzie deszcz ulewny.
Grzmot i piorun błyskawice. Trudno wyrzeć na ulice;
Tam jest dobrze gdzie nas niema. Ale lepiej gdzie jest zima.
Mróz oczyszcza nasze sioła. Zdrowy naród dookoła;
A gdzie słońce głowę piecze. Zaraz umarłbyś człowiecze.
Nie wytrzymasz w żaden sposób. Wiele już umarło osób;
Bo kto był białego ciała. Dawno ziemia go zabrała.
Czarny człowiek jak atrament. To ubrany jest w dyament;
Na nim perły i łańcuchy. Ale straszny jak złe duchy.
Życzmy sobie zdrowia śmiało. Choć pieniędzy mamy mało;
Boć to zdrowie to skarb drogi. Kto je ma nie jest ubogi.

153801
203543) 87

Prawda że są ciężkie czasy. Dla nas biednych niskiej klasy;
Może da Bóg będzie lepiej. To i biedny się pokrzepi.

Przeleciałem różne kraje. Oj daremno nikt nie daje,
Wszędzie biednych — doprzepaści. Jak kto co ma — trzyma
[w garści.

Koniec.



153801